



Opowiadania ludu w powiecie sokalskim i buczackim.

O węzowym królu.

W samym środku wsi Liski obok Bełza jest sadzawka niewielka. W tej sadzawce jest źródło i wypływa z niej mały strumyczek. Wieśniacy opowiadają, że w jednym miejscu w tej sadzawce są żelazne drzwi, a za temi drzwiami jest długi korytarz. Tym korytarzem dojść można do pałacu króla węzów. Rzeczywiście woda w sadzawce w okolicy źródła nigdy nie zamarza, nawet w największe mrozy. Wieśniacy jednak na to głową kręcą i mówią, że to inna temu przyczyna i opowiadają: „Bardzo dawno już temu, żyła we wsi bardzo biedna kobieta. Miała ona trzy córki i wszystkie chodziły do dworu na robotę. Najmłodsza z tych córek nazywała się Helena, a była taka ładna, że aż strach. Wyrażenia: „aż strach“ używa lud, chcąc coś wyrazić w stopniu najwyższym. Raz poszły się dziewczęta kąpać, a ubranie zostawiły na brzegu pod płotem. Gdy się wykapały, wylazły z wody i pobiegły pod płot, ażeby się ubrać. Wtem spostrzegły, że na koszuli najmłodszej z nich siedzi wielki wąż. Na głowie jego świeciła korona, co świeciła jak słońce, choć to było w nocy. Dwie starsze siostry zlekły się bardzo, porwały ubranie i uciekły.

Najmłodsza została ze strachu w wodzie i nie wiedziała co robić. Tedy wąż do niej rzekł: „Nie bój się, nic ci złego

nie zrobię, czy chcesz być moją żoną?“ Dziewczyna zdumiała się, lecz bez namysłu rzekła tylko: „Chcę“.

Wąż tedy plusnął w wodę i znikł.

Dziewczyna ubrała się, przybiegła do domu i opowiedziała całą rozmowę swoją z wężem matce i siostram. Matka tylko głową pokiwała i rzekła: „No, no“.

Drugiego zaraz dnia przyjechała przed chatę owej baby złota karetą, zaprzężoną w cztery konie. Na koźle siedział lokaj z wężową głową i rzekł do zdziwionej kobiety: „Dawaj babo swoją córkę“. Kobieta czempredzej ubrała najstarszą donię w wstążki i wsadziła do karety. Nie minęło pół godziny, karetą wraca a w niej najstarsza córka.

„No i co?“ pyta matka. „Ot nic, nie chciał mnie, ale mi dał sto dukatów“. Tedy matka kazała drugiej córce ubrać się i pojechać. Lecz i ta wróciła i przywiozła matce sto dukatów. W końcu ubrała matka trzecią córkę, zaczesła, w kosy (warkocze) wpleła wstążki, dała jej korale, pocałowała i posadziła do karety. Niedługo jechali, karetą wjechała w sadzawkę, żelazne drzwi się otworzyły i wjechali w korytarz.

Tam było tak jasno, jak we dnie.

Dalej spotrzegła pałac jasny, jak słońce.

Przed pałacem stał tron, a na nim siedział zniecierpliwiony król wężów. Na głowie miał koronę. Naokoło siedziało mnóstwo wężów i posługiwało królowi. Król kazał jej usiąść koło siebie i pokazał ją wężom. Te zaczęły znosić miód, ryby, chleb, masło, mleko. Oboje jedli i Helena nic się nie bała. Potem król zszedł z tronu i oprowadzał ją po różnych pokojach. Były one piękniejsze niżeli we dworze, były tam złociste kanapy, krzesła i łóżka. W kącie stały fajki. Król poszedł do kąta, wziął jedną fajkę, nałożył tytoniem, zapalił hubkę i włożył ją do fajki. Helenie na niczem nie zbywało i było jej dobrze przez lat siedm.

Miała ona potem syna. Chłopiec był ładny, choć o wężowej twarzy. Miał on po ojcu zostać królem.

Tedy prosiła swego męża, by jej pozwolił wraz ze synem pojechać do matki. Wąż dał jej pozwolenie na całą noc. Gdy się ściemniło, siedli obydwój do karety i przyjechali do matki. Ta się bardzo ucieszyła, widząc córkę bardzo pięknie ustrojoną i bardzo ładnego wnuka. Częstoowały wnuka czem mogły, ale panicz nic nie chciał jeść. Tylko zostawił babcie

i dwóm ciotkom po sto dukatów i nad świtem siadł razem z matką do karety i pojechali. Matka z pozostałymi córkami widziały, jak wjechali do sadzawki, jak drzwi się otworzyły i wszystko zniknęło.

Teraz, gdy wieśniacy w zimie na sadzawce łód rąbią, uderzają drągami w stronę źródła i mówią jeden do drugiego: „Słyszysz, jak drzwi huczą“. Nie znałem jednak człowieka, któryby z pewnością powiedział, że drzwi te widział.

O pokutujących duchach.

W Bełzie nad Sołokiją jest most. Kto szedł o północy przez most, dostawał zawsze kamieniem przez nieznanego sprawcę. Nikt więc nie chciał tamtędy nocą chodzić.

Raz szedł przez most radny nocną porą i dostał kamieniem. Radny obrócił się i rzekł: „Pan Bóg miałby cię w opiece a toś mnie trzepnął“. Aż tu wychodzi z pod mostu jakiś cień i mówi: „Dziękuję ci za dobre słowo, bo każdy tylko mnie przeklinał, a tyś mnie dał Bogu w opiekę“. Od tego czasu już tam nie straszy.

W mieście jest również stary klasztor, zbudowany przez Chodkiewiczową w roku 1632. Do klasztoru przybudowano prześliczny kościół, dziś zamieniony na cerkiew. W klasztorze tym siedziały p. p. Dominikanki, lecz cesarz Józef II. odebrał im ten klasztor i kościółek. Tuż obok stoi drugi klasztor OO. Dominikanów, który również był przez Józefa II. zniesiony. Po korytarzach obydwu byłych klasztorach pokazują się często duchy zmarłych mnichów i mniszek. Raz wracał z kasyna śp. ksiądz Kałkowski, którego znałem osobiście. Wtem w nocy na korytarzu spostrzegł Dominikanina ze świecą w ręku. Szedł on pomału przed nim, raptem wszedł w mur i znikł. W klasztorze żeńskim snują się czasami zakapturzone mary byłych zakonnic.

O upiorze.

Żył raz na zabłociu cieśla i chodził w okularach. Był to sobie tęgi chłop, czerwony na twarzy i mówiono o nim, że ma dwa serca. Jak podpiął szpinkę (upił się), tedy bił żonę i córkę. Raz naprawiał on most, a córka przyniosła mu na obiad

studzone nogi. Cieśla jadł je łakomo i kością udławił się. Pochowano go na cmentarzu, Tymczasem jeszcze tej samej nocy wylazł on z grobu, wrócił do domu, otworzył szufladę, wziął okulary i założył je na nos. Następnie porwał kij i tak jak przedtem, tak i teraz sprawił żonie i córce lanie.

Żona i córka nie widziały go, tylko okulary i kij. Przestraszone kobiety poszły nazajutrz do burmistrza i opowiedziały rzecz całą. Ten kazał grób otworzyć, wyjąć trupa z trumny, uciąć mu głowę, a serce przebić osikowym kołem. Głowę włożono mu między nogi, aby rękami nie dostał. Od tego czasu był spokój.

Zaduszny dzień.

Opowiadają, że w Zaduszny dzień wszystkie dusze zmarłych ludzi wychodzą z grobu i przypatrują się ludzkim sprawom. Jeden gospodarz temu nie wierzył. Szedł on na strych po kozuch i krzyknął: „Są tu dusze na mojej kozusze?“ Wtem jak go trzepnie coś w twarz, że gospodarz z drabiny spadł i pięć palców z uderzenia pozostało mu na twarzy.

W ten dzień po niesporach wszystkie dusze idą na noc do kościoła i modlą się. Pewna kobieta, której córka umarła, pozostała na noc w kościele. Wtem spostrzegła mnóstwo ludzi, swych dawno zmarłych znajomych i księdza w ornacie i chłopców w komeżkach, w końcu spostrzegła swoją córkę. Niosła ona całą konewkę łez matczynych i stękając rzekła: „Nie płacz matko za mną, bo twoje łzy nosić muszę“.

Nie przeklinaj.

U pewnej złośliwej gospodyni służył parobek, imieniem Szymek. Poszedł on raz kosić trawę dla krowy do podaju. W trawie tej schowała się gospodynia kwoka i siedziała na jajach. Trawa była wysoka i parobek kwoki nie widział. Gdy zawiął kosą, zabił kwokę niechcący. Baba narobiła wrzasku, zaczęła przeklinać, a w końcu rzekła: „Bodajś nie zgnił“ i wypędziła go ze służby. Jakoś w kilka dni potem parobek poszedł na noclegi paść konie, zaziębił się i zmarło mu się. — Pochowali, zapomnieli, taj przepadło.

Od owego czasu upłynęło 33 lat. Ze starych niejeden umarł, młodzi się postarzel, ot taka to dola ludzka. Cmentarz w tej wsi nie był wielki, więc gdy kto umarł, rozkopywano stare groby i zmarłych chowano. Grabarzem był człek stary, który od młodości swej groby kopał, wiedział dobrze, gdzie kto pochowany. Trafiło się, że trzeba było nowy grób kopać. W czasie roboty łopata mu o coś zawadziła. Zaciekawiony, zaczął kopać dalej i odgrzebał Szymka, ale tak świeżego, jakby dopiero przed kilkoma dniami umarł. Wydobył go tedy, zaniósł do trupiarni i tam nieboszczyk leżał. Ludzie się schodzili i oglądali to dziwo.

Jakoś w kilka dni później kwoka grabarzowej zrobiła sobie w nogach u Szymka gniazdo i siedziała na jajach, a nikt jej nie spędzał.

W niedzielę zeszli się parobcy do karczmy. Gadu, gadu, to o tem, to o owem, zaczęli się chwalić swą odwagą. Jeden z nich mówił, żeby się nawet wilka w nocy nie bał, ale inni mu przerwali: „Jeśliś taki odważny, przynieś Szymkową kwokę teraz do nas“. Była to już północ, ale parobczak podochocony rzecze: „Pójdę, ale zapłacicie kwartę wódki“. — „Zgoda“ krzyknęli inni. Wyszło parobczysko na dwór, wiatr zimny go owiał, lecz śmiało szedł naprzód. Przyszedłszy jednak na cmentarz, zwolnił kroku, bo nogi pod nim zdrząły. Zdawało mu się, że umarli siedzą na grobach i pytają go, dlaczego nawet nocą spokoju im nie daje. Szymek jednak doszedł do truparni, wziął kwokę pod pachę i chce wracać. Wtem usłyszał szmer i spostrzegł, że Szymek siadł w trumnie, wsparł się na rękach i mówi:

„Czekaj, jutro umrze stara Magda, ja u niej służyłem temu lat 33 i zabiłem jej kwokę niechcący kosą, a ona mnie przeklęła, bym nie zgnił. No i jak widzisz, nie zgniłem. Mnie to nic nie szkodzi, ale baba może pójść do piekła. Proszę cię, idź do proboszcza i powiedz mu, by jej przypomniał o mnie i o kwoce, gdy ją będzie spowiadał“.

Przestraszony parobek już nie poszedł do karczmy, ale prosto na probostwo. Już było nad ranem, ksiądz wyszedł z izby i spostrzegł parobka. Ten pocałował go w rękę i opowiedział swe nocne zdarzenie. „Upiłeś się, wódka śmierdzi od ciebie“, mówi jegomość. Ale nadszedł jakiś człowiek i prosił, by ksiądz poszedł starą Magdę spowiadać. Zdziwiony

poszedł i w czasie spowiedzi wspomniał babie o Szymku. Ale baba, jak się nie rozjuszy, zaczęła przeklinać i krzyczeć: „A księdzu co do tego, on mi najlepszą kwokę zabił“, i ze złości wyskoczyła z łóżka i padła trupem na ziemię. Tedy niewiadomo skąd zleciały się całe chmury kruków i wron, obsiadły one wszystkie drzewa, kracząc i wrzeszcząc przez cały dzień i noc. W czasie pogrzebu zerwała się straszliwa burza z gradem i piorunami, że wszyscy uciekli, a babę zostawili przed cmentarzem, ale na drugi dzień już jej tam nie było. Jedni mówili, że ją woda porwała, a inni („Duch święty przy nas!“) czarci ją wzięli. Przyszli do Szymka, ale ten już się w proch rozsypał.

Przyszło mi tu na myśl, że u naszego ludu uważają za klątwę, jeżeli ciało nie zgnije, czego dowodem nawet Siciński w Upicie, lub przekleństwo: „Żeby twoją głową za psami rzucali“.

O dziadach.

Żebractwo jest rzemiosłem, a bardzo starzy ludzie nie z biedy, ale z własnej chęci idą na dziady, a broń Boże ubliżyć im, że oni są żebrakami. Prawdziwego dziada można poznać, że ma długie piękne siwe włosy, czystą płótniankę skórzaną lub płócienną torbę przewieszoną przez plecy, a w ręce kostur tęgi przed psami. Dziad taki ma wstęp do chat i do dworów. Modli się porządnie, a za każdy datek zaraz się modli. Są to ludzie pobożni i wierzą, że modlitwa ich pomódz musi. Nie tak poważani są żebracy, których nieraz także dziadami zowią, lecz już z tonu mowy wieśniaka poznać można ich lekceważenie.

W roku 1894 przychodził do mnie siwy wesoły staruszek. Zapraszałem go zawsze do pokoju i sadzałem na krześle. Często stawałem go również herbatą lub wódką. Chciałem raz rozpuścić okowitę gorzelniankę, by mu się dać napić, ale dziadek prosił, by mu dać okowitę „takotak“. Nalałem kieliszek od wina. On wypił, splunął i powiedział, że dobra, potem zjadł kawałek chleba ze solą, a ja zacząłem z nim rozhovor po polsku. „Ile macie dziadku lat?“. „Ja mam proszę pana lat sto i cztery“. Patrząc zdziwiony na niego, a on mówi: „Ja pamiętam jak jeszcze tu w Liskach granicy nie było, a Moskale nie siedzieli

(kongres 1815). Jestem w Liwczu i Polak jestem, ale mam wnuków i praprawnuków w Liwczu, Hulczu, Sulimowie i Liskach i po świecie, oni przeszli na ruskie, ale to wsio ryba, bo my taki Polaki. Ja sobie chodzę po moich wnukach i dobrych ludziach, bo mi w domu kuczno. Ot pacierz powiem, a nie oszukam nikogo i tak uczciwie żyję“.

„Albo to dziadek może kogo oszukać“.

„Oj może, dziad jak dostanie kawałek chleba lub grajcar, musi pacierz powiedzieć, bo inaczej wszystkie grzechy dającego bierze na siebie. Zresztą to nie jest taka wielka praca, można to i w drodze odmówić, ale najlepiej zaraz. Niechno pan profesor posłucha, co ja powiem:”

Żył raz dziad, co zbierał pieniądze, lecz nigdy pacierzy nie odmawiał. Raz przyszedł on do zamożnego gospodarza i prosił o nocleg. Gospodarz go przyjął, bo dziada taki każdy przyjmie. Ale w nocy dziad zaczął stękać i umarł.

Gospodarz kazał go według obyczaju chrześcijańskiego obmyć i dał mu swoje czyste szmatie, a dziadowską opończę rzucił gdzieś w stodole do kąta.

Raz baba potrzebowała komin zatkać i przypomniała sobie dziadowską opończę.

Wzięła ją do ręki i poczuła, że ona bardzo ciężka i coś w niej dźwięczy. Zawołała gospodarza, zaczęli oboje szukać i znaleźli sto talarów. Zanieśli pieniądze do księdza i pytali, co z tem robić. Ale ksiądz mówi: „Kto wie, jakim sposobem dziad przyszedł do tych pieniędzy, tembardziej, że nikt nie wie skąd on był i czy ma jaką rodzinę. Za te pieniądze kup świni i rozpocznij handel — jeśli będzie ci się wiodło, będzie to znakiem, że pieniądze uczciwie nabyte, wtedy dasz na mszę za jego duszę. Gospodarz tak zrobił, jak mu ksiądz kazał, poszedł na jarmark i kupił prosię, a resztę pieniędzy schował do kieszeni, lecz nim się ogładnął, już mu ktoś te pieniądze wyciągnął, czy sam zgubił. Z prosięcia wyrósł ogromny wieprz, lecz był on tak dziki, że nie można było do niego przystąpić.

Raz wyrwał się on z kuczy i rozhukany pognął prosto na cmentarz i zaczął ryć na grobie dziada. Gospodarz pobiegł za nim aż na cmentarz, lecz tu omal nie zginął ze strachu. Oto z grobu wyskoczył dziad cały płomieniem i gorejącą smołą otoczony, rzucił się na wieprza i zawołał: „Chodź tu, ty prze-

klęta jałmużno moja!". Zaczęli się żreć i obaj wpadli do jamy, z której płomienie buchały".

Rozgadanemu dziadkowi chciałem dać jeszcze wódki, ale on rzekł: „O dziękuję panu, ja tylko piję jeden kieliszek dziennie, ale mocnej, to mnie trzyma na nogach i przeżyłem wszystkich swoich równowieśników. Okowitka nie szkodzi, ale trzeba ją umieć pić“.

Dziadek ten przychodził jeszcze kilka razy do mnie, kiedy jednak umarł, nie wiem.

Czy zbrodnia da się ukryć.

Według wierzeń ludowych żadna zbrodnia ukryć się nie da, a zbrodniarz, czy prędzej, czy później, jeszcze tu na tym świecie karę ponieść musi, na dowód czego przytaczają następujące zdarzenie.

Pewien rzeźnik miał duży sad, a w nim wiele czereśni. Chłopcy, jak zwyczajnie łakomi na owoce, przychodzili i często owoce zrywali. Przecież to nic złego, bo chłopiec jak wróbel, ot, nastraszyć go, napędzić i spokój. Ale ów rzeźnik zrobił zasadkę z fuzyą i gdy biedny chłopczyzna sięgnął ręką z parkanu po czereśnię, rzeźnik wystrzelił i zabił nieboraka. Zbrodni jego nikt nie widział, schował go w krzaki, a w nocy wykopał jamę i zagrzebał biedne dziecko. Zmęczony usiadł na trawie, wtem słyszy jak z grobu wychodzi głos: „Boże, Boże, pomścij mej niewinnej śmierci“. Rzeźnik zerwał się, ale w tej chwili usłyszał jakiś straszny głos: „Pomszczę się, pomszczę, ale aż za 9 lat“.

Poszedł rzeźnik do domu i dalej prowadził swe rzemiosło. Powodzi to mu się dobrze i kupił nawet kamienicę. O chłopcu zupełnie zapomniał. Aż raz w samą dziewiątą rocznicę śmierci owego chłopca zabił ów rzeźnik cielę i wioził je do miasta. W samym rynku niespodzianie oglądnął się i ujrzał na wozie owego zabitego chłopca, zaczął krzyczeć z przerażenia i wobec wszystkich przyznał się do wszystkiego, pokazał nawet miejsce gdzie chłopca pochował. Zaś zabite cielę zostało cielęciami.

Co większy grzech, zabić, czy postu nie dochować?

Raz na jarmarku spostrzegli dwaj chłopci zgonnika, który sprzedawał wieprze. Zgonnik był im znany i wiedzieli, którądy on zwykle wraca do domu. Droga prowadziła przez las. Zaczęli tedy obaj i już o zmierzchu spostrzegli samotnie idącego rzeźnika.

Wyskoczyli tedy obaj z nienacka i zamordowali biednego człowieka. Ciało zawlekli do lasu i zagrzebali, a torbę wzięli ze sobą. W głębi lasu usiedli na murawie i zaczęli się dzielić.

Były tam pieniądze, flaszka wódki, kawałek chleba i kiełbasa. Pieniądzmi się podzielili, wódkę wypili, ale zakąsili tylko chlebem, a kiełbasy nie tknęli mówiąc: „Nyni pist świątyj, piątnycia, hrich buwby poskoromyty sia“. (Dziś post święty, piątek, grzech byłby dziś jeść mięso).

O zamku w Buczaczu.

Buczacz, miasto na Podolu, leży w prześlicznej okolicy nad rzeką Strypą. Najpiękniejszą ozdobą tego miasta są ruiny starożytnego zamku na niewielkim pagórku, wznoszącego się tuż nad Strypą.

Zamek ten słynny nie tylko w historii krajowej, ale i w powszechnej. Tu bowiem zawarty był w roku 1672. ów nieszczęsny traktat buczacki, w którym Polacy zmuszeni byli oddać Turkom Ukrainę, Podole z Kamieńcem i zapłacić haracz. Zamek w Buczaczu nie był jednak wtedy zburzony, gdyż w trzy lata później oblegał go nadaremno Szyszman basza, a nie mogąc zdobyć, uderzył na zamek w Trembowli, którego bronił słynny w historii naszej Chrzanowski. Król Sobieski nadszedł z odsieczą, a Szyszman basza uciekł. W kilka lat później był znów Sobieski w Buczaczu i pił wodę ze studni pod zamkiem. Studnię tę dotychczas pokazują przy ulicy Kolejowej. Zresztą rodzina Potockich nie zostawiłaby tak silnej pozycji bez obrony, oni to zasłaniali Podole piersiami swemi przed zalewaniem Turków i Tatarów. Zamek zniszczono dopiero za czasów panowania cesarzowej Maryi Teresy. Wiadomo bowiem, że po pierwszym rozbiórce Polski w r. 1772-gim mnóstwo konfederatów Barskich ukrywało się po zamkach polskich. Austriacy tedy, zabrawszy Galicyę, chcą mieć spokój w zabranym kraju,

wszystkie zamki panów polskich burzyli. Wtedy to i zamek w Buczaczu zapewne uległ zniszczeniu, a czas i sąsiedzi, którzy obok zamku mieszkają, niszczą go do reszty. Ruiny te jednak i dziś wyglądają wspaniale, należałoby je tylko powlec wodnym szkłem i ocalałaby ta starożytna i prześliczna pamiątka.

Niegdyś nad Renem wznosiły się zamki rycerzy rabusiów, nie mają one tak wielkiej wartości historycznej, a jednak je szanują, są ogrodzone i dopiero za opłatą można je z bliska oglądać.

Na południe od Buczacza jest gościniec, prowadzący do wioski Żyżnomierza. Tu obok gościńca rośnie stara lipa, pod którą miał być zawarty ów traktat buczacki.

Hrabia Potocki kazał ją ogrodzić i podeprzeć. Jestto jedna z najstarszych lip w Polsce.

Wyszedłem raz w niedzielę z synami w pole i zobaczyłem pod lipą ciemnego lirnika ze Żyżnomierza, nazwiskiem Złotarski. Otoczyli go starsi, siwi gospodarze i rozmawiali. Poszedłem do niego, prosiłem, by mi coś zaśpiewał i wręczyłem mu niewielki datek. Lirnik nastroił lirę i zaczął śpiewać pieśń po polsku, ale na tak rzewną nutę, żeśmy wszyscy nie wyłączając wieśniaków z zadziwieniem słuchali. Niestety słów nie mogłem zapamiętać, ale treść jej taka: „O Jezu miłosierny, patrz na biedne dzieci Twoje, oto car turecki pognewał się na króla polskiego i chciał mu zabrać naród chrześcijański. Niezliczone tłumy pogan stanęło pod Kamieńcem podolskim. Darmo rycerze nasi krew swoją przelali, Turcy miasto zdobyli, chrześcijan mordowali, kobiety i dzieci w niewolę zabrali, Przenajświętszym Sakramentem konie nakarmiali, a świętego Jantoniego z kościoła wyrzucili, a obrusy i chorągwie pod kulbaki dawali, strasznie Pan Bóg naród karał, bo się nie kochali. O Jezusie miłosierny, zmiłuj się nad nami“.

Pytałem tedy wieśniaków, czy wiedzą coś o tej lipie, pod którą siedzimy. Wieśniacy z niedowierzaniem popatrzali na mnie i byłbym się nic nie dowiedział, ale przedstawiłem się im jako nauczyciel i powiedziałem, że mam w mej klasie aż trzech uczniów ze Żyżnomierza. Zaraz prosili mnie siedzieć obok lirnika, co też z ochotą zrobiłem i zapytałem, czy znają pieśń:

„Pod Kamieńcem pod Podolskiem
Stoi Turek z swoim wojskiem,

Stoi, stoi nie wojuje,
Więcej wojska potrzebuje“.

Żaden z nich tej pieśni nie słyszał, tedy zaśpiewałem im ją całą. Lirnik bardzo się jej przysłuchiwał, a potem rzekł: „Słowa śliczne, ale nutę do niej trzeba dać nie taką“.

Zaczęliśmy tedy śpiewać na nowo. Lirnik na oczekaniu ułożył do niej nutę tak rzewną, że mi się nadzwyczaj podobała. Prosił mnie potem, bym mu tę pieśń napisał i przysłał przez uczniów, a jego dzieci umieją czytać, to on się nauczy. Obiecałem mu. Zacząłem tedy opowiadać znane mi legendy i baśnie o duchach, zamkach, zaklętych dzwonach. Wtem jeden ze starszych gospodarzy przerywa mi i mówi, że i u nas są także zaklęte dzwony i zaczął opowiadać następującą powieść:

„Otóż i my mamy podziemne dzwony w Buczaczu pod zamkiem, a podczas Świąt wielkanocnych słyhać je o północy, gdy dzwonią po rezurekcyi. Słyhać je głęboko pod ziemią. Mieszkają tam zakłęci rycerze, którzy się bili z Turkami i innymi poganami, a pilnuje ich dobosz bez głowy. Wychodzi on nieraz o północy i przygląda się zamkowi“.

„A dlaczego on bez głowy?“ zapytał jeden ze słuchaczy.

„Bo to widzicie, jak na zamku kopali, znaleźli ludzki kościak, głowę wydobyli, popatrzyli i rzucili, a kościak zagrzebali. Głowa się poniewierała, rzucano nią, a w końcu stoczyła się do Strypy i przepadła. Widocznie był to dobosz, ale on chociaż bez głowy, dobrze widzi, bo to duch. Mój nieboszczyk tato opowiadał, że pewien stelmach był w Buczaczu na rezurekcyi i jakoś w mieście zabawił do północy. Noc była ciemna, droga kamienista, no jak wiece głębokie jary, bał się więc, by nie wleciał do jakiej jamy i żeby się nie zabił, zwłaszcza, że był trochę podochocony. Wydrapał się więc na zamek i szukał miejsca, gdzieby mógł przenocować. Wtem spostrzegł dobosza bez głowy, miał on ogromny bęben i pałkami na nim: Romtomtom, romtomtom! Otworzyła się przed owym człowiekiem wielka brama i stelmach wszedł do bramy. Tu najpierw zobaczył bardzo długi korytarz i sto worków prochu do strzelania. On z początku zląkł się, ale pomyślał sobie:

„Wsio ryba, zginę nie zginę, pójdę naprzód“. A tu się brama za nim zamknęła, a dobosz wciąż szedł za nim i bębnił.

A było tam tak jasno jak w dzień. Wyszedł do jakiejś obszernej sali. Tam zobaczył dużo wojska, wszyscy byli w żelazo ubrani, zobaczył tam wiele panów w czerwonych i złotych ubraniach i dużo ślicznych Kozaków uzbrojonych. Na stelmacha mało oni zważali. Wtem nadszedł jakiś bogato ubrany pan z wysoką futrzaną czapką i z piórem na czapce i pyta: „Znasz mnie?“. „Oj nie panie“. — „Toż to ja jestem pan Kaniowski“. Stelmach upadł mu do nóg, hej! hej! był to dobry pan, nie dał on biednemu chłopu krzywdy zrobić i dobrze za jego czasów było. Pan Kaniowski wziął go za rękę, posadził za wielkim stołem i kazał mu jeść co tylko zechce. Mnóstwo gości jedli święcone jajko, pili miód i zabawiali się. Na samym przedzie siedziała w ciemnej sukni, jakby jaka zakonnica, pani.

Obok niej siedziało dwunastu synów. Najstarszy był już duży, a miał orle skrzydła na sobie, potem był mniejszy, potem jeszcze mniejszy, a najmniejszy był u matki na rękach.

Wszyscy oni mieli skrzydła, a najmłodszy był puchem pokryty. Zaś pan Kaniowski pyta owego stelmacha: „Dobrze tam na świecie?“. „Oj źle panie!“ „Ja wiem, że źle, ale czekajcie. Jak temu maleńkiemu skrzydła urosną, wtedy wyjdziemy i w całym naszym świętym kraju znowu dobrze będzie“.

Po uczcie dał mu pan Kaniowski dziesięć dukatów, do bosz bez głowy zabębnił znowu: „Romtomtom, romtomtom“, odprowadził go do bramy na dwór i zamknął drzwi. Stelmach się oglądnał, lecz nie mógł już owego miejsca znaleźć, skąd wyszedł. Gdy zadniało, wrócił do domu, a tu żona i dzieci gwałt: „Gdzieżeś był przez całe święta?“. A on tam był przez trzy dni, a potem wszystkim pokazywał otrzymane dukaty“.

Gospodarze wstali, pożegnaliśmy, podaliśmy sobie ręce i wrócili do domu.

Opisałem to zdarzenie dlatego, że między ludem naszym przechowują się prześliczne opowiadania, lecz wieśniacy opowiedzą je tylko temu, kto umie ująć ich sobie za serce. Przy powitaniu należy zawsze powiedzieć: „Pochwalony Jezus Chrystus“ lub „Sława Isusu Chrystu“. Lud chętnie nawet mówi po polsku, chociażby nawet był greckiego obrządku, nie patrzy on na mowę, tylko radby poznać istotę tego, kto z nim mówi.

Pasiecznik.

Pasiecznik jest to sobie mały chłopczyk, porządnie ubrany z czerwoną czapeczką na głowie i z fajką na długim cybuchu. Trzymają go bogaci gospodarze, aby im pilnował gospodarstwa, a szczególnie pasieki. Nazwiska jego nie wolno powiedzieć, a najbardziej gniewa się, gdy go kto nazwie czortem. Chłopi nawet w opowiadaniach o pasieczniku nie wazą się jego nazwiska powiedzieć, aby dyabła nie wywołać, tylko mówią o nim przez trzecią osobę mówiąc: „On“.

Pewien parobek dostał się na służbę do bogatego chłopa, o którym powiadano, że ma pasiecznika.

Raz parobek nocował w pasiece, tymczasem „On“ go zobaczył i zaczął na parobka dym z fajki puszczać. Parobek podniósł głowę i zobaczył maleńkiego chłopczyka, który mu się z ciekawością przypatrywał. Rozgniewany parobek porwał cep i nuż za nim gonić po pasiece, lecz „On“ jak kuna uciekał po wszystkich kątach. Parobek bił ciągle cepem i mówił: „Raz, raz, raz, a był to mądry parobek, bo gdyby był powiedział: „Dwa“, byłby mu „On“ głowę urwał. Gdy się parobek zmachał, spostrzegł z przerażeniem, że stodoła się pali, a tu niema kórędy uciekać, aż tu zobaczył okno tarniną założone. Wyrwał tedy czempredziej tarninę i uciekł przez okno, patrzy, a pasieka jak stała tak stoi, tylko przestraszone parobczysko ręce sobie pokaleczył. Nie dość na tem, zaczął uciekać do domu, ale „On“ drogę mu na bagna skierował. Parobek wpadł do błota i byłby utonął, ale zobaczył światelko, a tatunio mu mówił, że „On“ czasem w postaci światelka goni po bagnach i ludzi topi. Został tedy w błocie do samego rana, dopiero jak się rozwidniło, poznał gdzie był i wrócił do domu.

U tego gospodarza było w stodole sześć beczek jabłek. Otóż parobek ten chciał raz sobie wziąć kilka jabłek, podniósł pokrywę, a tu „On“ przemienił w „hadiukę“ ta do parobka. Ten w nogi, ledwie ze życiem uciekł. Podziękował tedy za służbę, chociaż mu tam dobrze było.

Gospodarz tedy przyjął sobie do służby dziewczkę. W jesieni robiono u niego miód do picia, a potem w Buczaczu żydom sprzedawano. Gospodarz mówił do dziewczki: „Nie pij tego miodu, bo sobie narobisz kłopotu“. Nie wiedziała ona, że nocną porą „On“ dolewał gospodarzowi do miodu mocy.

Jakoś raz w niedzielę napiła się dziewczka z beczki słodkiego miodu i wyszła na ogród. Patrzy, a to idą dwaj panicze w czerwonych czapczkach i proszą ją do tańca. Muzyka rżnie od ucha, dziewczce nogi zaczynają podskakiwać, a panicze koło niej hulają i cieszą się. Wtem ktoś krzyknął dziewczce do ucha: „Maryanka uchwyc się wianka“.

Dziewka to zrozumiała i złapała za szkaplerz, co go miała na sobie. Patrzy a tu panicze uciekli, a ona z pokaleczonemi nogami w błocie siedzi. Nie chciała już więcej u tego gospodarza służyć.

Buczacz, 30. lipca r. 1906.

Antoni Siewiński
nauczyciel w Buczaczu.

